

Próba generalna (fragment pamiętnika przygotowywanego do publikacji)

Zaczęło się od jakiegoś wirusa w połowie maja: katar, duszący kaszel. Tydzień, dwa – nie przechodzi, przeciwnie, coraz bardziej dusi. Jadę do lekarza. Przepisał mi antybiotyk na 12 dni, jak nie przejdzie, to powtórzmy. Przeszło. Aż tu rano wstaję i podłoga mi się chwieje. Myślę sobie, pewno z niewyspania, potrzeba mi tlenu. Biorę mój kijek spacerowy, który dodaje mi szacunku u spacerujących psów, pomaga odganiać komary, a nawet podrapać się w plecy. Idę chwiejnym krokiem i – jak staruszek – kijkiem się podpieram. Idę, wdycham tlen, ale ziemia wcale nie przestaje się chwiać. Po kilkudziesięciu krokach ogarnia mnie lęk. Zawracam i nie jestem pewny, czy dojdę do domu. Doszedłem. Myślę sobie, najlepiej usiąść do pisania. Pisanie pomaga na wszystko, zwłaszcza na strach, ale nie umiem pisać na ślepo, muszę zerkać na klawisze, a tu klawiatura się chwieje – i ekran, i krzesło. Włączam radio z muzyką klasyczną, która zawsze mi przywraca równowagę, siadam w odchylanym fotelu i otwieram książkę, dla której zawsze brakowało mi czasu – czytanie też bardzo pomaga na strach. Owszem, mogę czytać, jeśli nie poruszam głową, tylko przesuwam książkę przed oczami. Po godzinie wstaję, żeby sprawdzić, czy jest lepiej. Ani trochę. Przytrzymując się ścian, przeszedłem do łazienki i w ten sam sposób do kuchni. Gdy pociągnąłem za drzwi lodówki, omal się nie przewróciłem. Przygotowując lunch, musiałem obracać się między lodówką, kontuarem, szafkami i zlewem, schylać się i prostować. Robiłem to w zwolnionym tempie i wszystko jedną ręką, bo drugą musiałem trzymać się kontuaru. Nic z tego nie wychodziło, wszystko wokół chwiało się, przyprawiając mnie o mdłości i zupełnie mi się odechciało jedzenia. Wiem, że ludzie boją się samotności, ale ja nigdy się nie bałem. Ktoś mi niedawno powiedział: „Przecież ty nawet nie masz nikogo, kto by ci podał szklankę wody”, ale dopiero teraz zrozumiałem, co to znaczy. Dzwonię do lekarza, ale lekarz nigdy nie odbiera telefonu. Jego przyboczna pielęgniarka mówi, że dziś już nie zdążą mi zrobić niezbędnych badań, ale może skierować mnie na pogotowie. Nie chcę na pogotowie, przyjadę jutro rano. Dzwonię do syna, czy może u mnie przenocować. Nie może, bo dziś nocuje u swojej matki, która też ma problemy, ale jutro rano zawiezie mnie do lekarza. Zęby umyłem z zamkniętymi oczami. Zgasilem światło i po ciemku trafiłem do łóżka. W ciemności jest mi najlepiej, bo nie widać, czy świat się chwieje czy nie. Trochę trudniej było w połowie nocy trafić po ciemku do łazienki – dookoła tapczanu i przez wąską przebieralnię, gdzie po obu stronach wiszą ubrania i nie ma czego się trzymać – i z powrotem.

Mój lekarz nazywa się Krist, co w jidisz znaczy chrześcijanin. Nie mówiło się Polak ani Polka, tylko *der krist* i *di kristn*. Narodowość mało kogo obchodziła. *Der Polak* i *di Polkie* słyszałem dopiero po wojnie, bo i Niemiec był *krist*, i Ukrainiec i trzeba było rozróżnić. Doktor Krist był na urlopie, przyjął mnie doktor Crossman. Też wymowne nazwisko, bo *cross* to po angielsku krzyż. Kazał mi przejść po linii prostej, jak policjant po linii trzeźwości. Nie udało mi się zrobić ani jednego kroku. Skierował mnie do szpitala, który przylega do przychodni. Idę długim korytarzem, powoli, kijkiem się podpieram, Adaś mnie asekuruje. Elegancka recepcja, ciemne meble, dywany jak w hotelu wyższej kategorii, ale recepcjonistka nie za wysokim kontuarem, tylko za biurkiem, i każe nam usiąść. Murzynka, ale uśmiechnięta, przyjazna, co w Ameryce dość rzadko się zdarza. Spisuje dane, moje i Adasia, pyta go, czy ładnie tam, gdzie mieszka i czy wysokie komorne. Skopiowała karty obu moich ubezpieczeń i założyła mi plastikową bransoletkę z numerem. Jedziemy cichą windą hotelową na czwarte piętro, a tu już jasny, lśniący, szpitalny korytarz. Idę chwiejnym krokiem, kijkiem się podpieram. Pielęgniarki wszelkich ras, ale ani jednej białej, obserwują mnie fachowym okiem. – *Acute vertigo* – komentuje jedna. – *A cute vertigo* – poprawia ją druga. *Acute vertigo* znaczy ostry zawrót głowy, a *cute* znaczy wdzięczny, miły.

Pokój jest dwuosobowy, przedzielony ciężką, białą kotarą, ale jestem w nim sam i mam łóżko przy panoramicznym oknie z cudownym widokiem na niebo i las, bo szpital jest z dala od miasta i miejskich hałasów. Żaluzja na życzenie gęstnieje lub rozrzedza się, dając dowolną ilość światła i cienia. Ja nie zaciemniam, chcę jak najwięcej widzieć. Łóżko jest tak rozległe, że można przetaczać się z boku na bok, za przyciśnięciem guzika wznosi się i opada, całe lub częściowo: pod głową i pod nogami. Mało tego, materac automatycznie ulega każdemu naciskowi ciała, wgłębia się i z powrotem prostuje z cichym pomrukiem – jak żywy. Poręczce z obu stron, można podnieść albo opuścić. W zasięgu rąk telefon w kształcie elektronicznego pilota z guziczkami dla radia i telewizji i oczywiście słuchawki, każdy słucha, czego chce i kiedy chce. Zaraz obsiadają mnie kobiety, z jednej strony łóżka i drugiej, jedna za jedną rękę, druga za drugą, jedna wbiła mi w wierzch dłoni igłę, z której wyrastają krótkie plastikowe rurki do ewentualnych kroplówek, druga upuszcza krew do probówek, trzecia mierzy mi ciśnienie – trzy razy: w pozycji leżącej, siedzącej i stojącej. Jedna ma na imię Sina, druga Sima, trzecia Selma. Jedna z Indii, druga z Pakistanu, trzecia z Bangladeszu. Wyglądają jak Cyganki i jak rodzone siostry. Selma jest dzisiaj moją osobistą pielęgniarką: jeśli czegoś będę potrzebował, wystarczy przycisnąć numer o dowolnej porze dnia i nocy. Przyklejają mi do klatki piersiowej kabelki i przypasowują aparacik nieustającego elektrokardiogramu nie większy niż kieszonkowy CD player. Selma przynosi mi menu na obiad i kolację. Wybór jak w restauracji, ale z zaznaczonymi przez lekarza dietetyka restrykcjami. Patrzę w jasne niebo podkreślone ciemną linią lasu. Zakładam słuchawki, znajduję stację z muzyką klasyczną. Jest pięknie i ludzie tacy życzliwi. Jeśli tak się umiera, to czego się bać? Obiad przynosi mi szczupły, wysoki Latynos. Każde danie pod platerową pokrywą jak w restauracji lepszej kategorii. Na tacy wydruk dań, które zamówiłem, żebym sprawdził, czy nic nie brakuje. Brakowało bułki do sałaty, ale niech tam.

U poręczy łózka wiszą dwa plastikowe pojemniki, jeden z zakrętką, drugi z hermetyczną pokrywką, ale wolę przejść te kilkanaście kroków do łazienki, powoli, po omacku, po ścianie. Łazienka też ubezpieczona poręczami, więc udaje mi się umyć najbardziej strategiczne części ciała. Wracam, wyciągam się na pomrukującym łóżku, zakładam słuchawki i otulam się muzyką. Adasiowi zakazałem komukolwiek mówić, że jestem w szpitalu. Gdy coś mi jest, chowam się. Jak zwierzę. Nie chcę pokazać słabości. Nagle zdaję sobie sprawę, że żyję już dwa razy dłużej niż Mozart i Schubert, znacznie dłużej niż Chopin czy Schumann, a nawet dłużej niż Brahms, Beethoven i stary Bach, więc o co właściwie chodzi? Panorama za oknem ciemnieje. Wchodzi Selma, sprawdza mój aparacik EKG. Wchodzi Sima, mierzy mi ponownie ciśnienie na leżąco, siedząco i stojąco. Gdy odchodzi, zamykam oczy i zapadam się w uległe łóżko i w sen. W środku nocy budzi mnie dziewczyna z Ghany, czarna jak noc. Mierzy mi ciśnienie i z niedowierzaniem spogląda na mój wzwód pod kołdrą, bo śmierć nie śmierć, ale wachmistrz (ten eufemizm wymyślił Sobieski pod Wiedniem) wiernie czuwa. Znów zasypiam, a tu głos za kotarą, męski, monotony, opowiada. Coś o pracy, o sąsiadach, ruchu ulicznym, pogodzie, o wszystkim. Pewno rozmawia przez komórkę, ale o tej porze? Pewno z Europą, albo Hawajami, ale kto chciałby tak długo takich nudów słuchać? W pewnej chwili słyszę, że jest tam pielęgniarka i coś przy nim robi. Praca o tej porze jest trudna, więc ona nic nie mówi, tylko od czasu do czasu przytakuje, udając że słucha. Zdaje się, że miał atak serca, no i szczęście, że w porę go przywieziono – i że musi mówić, żeby dodać sobie odwagi, albo się boi, że umrze i nie zdąży wszystkiego powiedzieć – ale jestem zły, że nie daje mi spać. Trwało godzinę lub dwie zanim zamilkł. Rano idę do łazienki i widzę, że jego łóżko jest zaciągnięte dookoła kotarą. Idę ostrożnie, nieufnie i dopiero w drodze powrotnej zauważam, że podłoga się nie chwieje. Poruszam głową w lewo i w prawo, ściany też się nie ruszają. Aż dziwne, bo już się od tego odzwyczaiłem.

Rozjaśniam okno, jasne niebo, przepiękny dzień. Przy moim łóżku zjawia się młoda brunetka – kobiety są teraz przeważnie młode – z żydowskim nazwiskiem na swoim kitlu lekarskim. Patrzy na mnie z przejęciem, jakbym był jej ojcem lub co najmniej wujem – my, Żydzi, wszyscy jesteśmy trochę spokrewnieni. Myślę sobie, może mnie zna? – my, Żydzi, na ogół się znamy. A może mnie czytała? – my, Żydzi, na ogół czytamy. Jej wzrok mnie prosi, żebym jeszcze nie umierał, jeszcze nie tym razem. Dobrze, przyrzekam jej w duchu, że zrobię, co będę mógł – my, Żydzi, musimy sobie wzajemnie pomagać. Na śniadanie wybrałem obraną pomarańczę, corn flakes, kawę bezkofeinową, mleko (jednoprocentowe), grzankę z ciemnego chleba, niskokaloryczny omlet, niskokaloryczny ser. Po śniadaniu wchodzi wysoki, barczysty pielęgniarsz z fotelem na kółkach i wiezie mnie długimi korytarzami do windy, potem windą, potem znów korytarzami. Jest Kurdem, na imię ma Dawid, ale je jakoś inaczej wymawia. Pasjonuje się piłką nożną i jest zmartwiony, bo właśnie Argentyńscy przegrali z Niemcami. Wjeżdżamy do chłodnego gabinetu, gdzie panuje półmrok. Dawid znika i po chwili zjawia się sympatyczna kobieta – młoda jak większość kobiet. Każe mi się położyć na kozetce, siada przy mnie i wsuwa mi pod szpitalne kimono jakiś drobny przyrząd, który jest jednak przedłużeniem

jej delikatnej, damskiej dłoni i wodzi mi tym czymś po całym brzuchu. Objaśnia mi, co jest co, gdy moje wnętrza ukazują się na ekranie, a wszystkie ruszają się i słysząc ich zwierzęce pomrukiwanie. Mówi do mnie nieustannie, żebym nie miał czasu myśleć o tej intymnej sytuacji, a ja – aby zachować swobodę – pytam, czy widzi tam gdzieś mój dzisiejszy omlot lub wczorajszą pierś z indyka. Seans się kończy, ona mi dziękuje za cierpliwość, a ja jej odpowiadam – całkiem szczerze – że przyjemność po mojej stronie.

Wraca Dawid i wiezie mnie na MRI (*Magnetic Resonance Imaging*). Ma nowe zmartwienie: Anglicy przegrali z Portugalczykami. Pytam go, czemu się przejmuje Anglikami i Argentyńczykami? Bo zawsze mi żal tych, co przegrywają, odpowiada. Prawdziwy Kurd. Oni mają długą historię – jak Żydzi, ale jeszcze dłużej przegrywają. Stary język i dumna, stara kultura, nikt bardziej nie zasługuje na niepodległość, ale położenie geograficzne mają jeszcze gorsze niż Polacy i Żydzi, i żadnych sojuszników, bo nikt nie chce zadzierać z Turcją, Irakiem, Iranem, Syrią i jeszcze paroma państwami kaukaskimi. Miałem MRI po wypadku drogowym, gdy SUV – nomen omen *dodge caravan* – wjechał w bok mojej hondy i to z mojej strony. Też mało brakowało, że dwa cale, bo rąbnął w oś i skończyło się na wstrząsie mózgu. Do MRI trzeba się położyć w plastikowej trumnie, która sama się wsuwa pod wieko, wprawdzie podświetlone, ale niskie jak w trumnie, i leży się tam jakieś trzy kwadransy, nieruchomo jak nieboszczyk. Owszem, jest guzik, który można przycisnąć, jeśli chce się wyjść, a w normalnej trumnie takiej opcji się nie ma. Tamten MRI po wypadku samochodowym przeżyłem bez trudu, więc śmiało się kładę. Laborant proponuje mi słuchawki z muzyką. Zakładam i zaraz zdejmuję, bo strasznie niewygodnie. Jadę w biały tunel głową do przodu, ale gdy wieko się nade mną zamyka brak mi powietrza. Wpadam w panikę i przyciskam guzik. Wyciągają mnie. O co chodzi? Tam nie ma powietrza. Jak to nie ma? Sprawdzają, jest powietrze. Wjeżdżam z powrotem, ale znów się duszę. Wyciągają mnie, proszę o wodę. Laborant podaje mi plastikowy kubek, piję. Kładę się, ale coś mnie ścisza w gardle. Pytam, czy może podłożyć mi coś pod głowę? Podkłada mi zwinięty ręcznik i teraz już mogę oddychać, ale drzę i czuję zimny pot przez całe trzy kwadransy. Od pewnego czasu dostaję takich duszności w hotelach, w których nie można otworzyć okna, zwłaszcza jeśli *carpety* są z poliestru czy tym podobnych włókien sztucznych. Może alergia, a może to, że jestem wieśniakiem z mazowieckich równin i potrzeba mi przestrzeni. Czasem w środku nocy ubieram się i wychodzę, ale ulice też mi się wydają za ciasne, nawet place. Czasem śni mi się, że wchodzę do ciasnego tunelu albo podkopu, gdzie brakuje mi tchu, lub że mam za ciasną marynarkę lub koszulę, którą chcę jak najszybciej zdjąć, lecz nie mogę. Na szczęście zawsze się wtedy budzę. Za duszny już ten świat. Albo duszy już za ciasno w ciele. Coś bardzo podobnego czuję, gdy odmawiają mi publikacji.

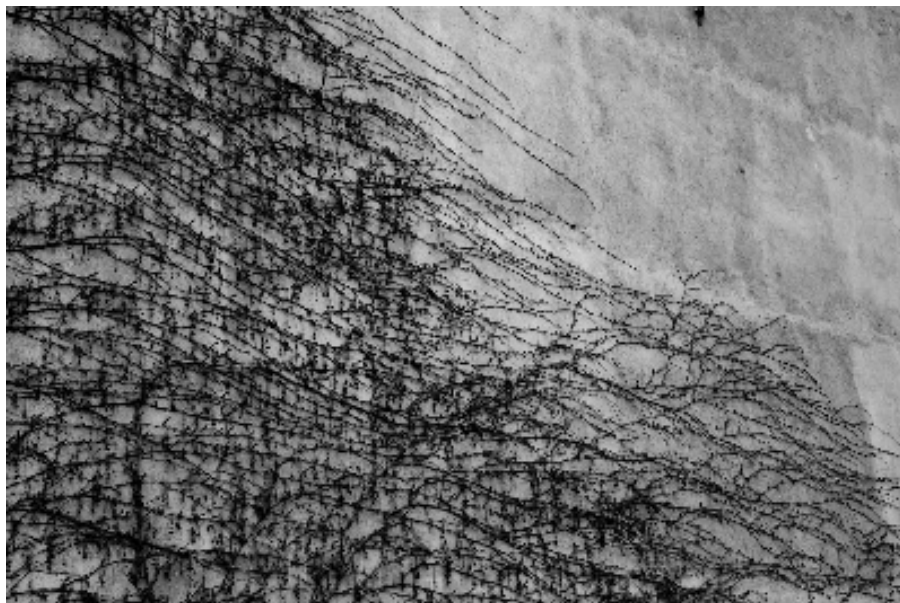
Przyjeżdżam z powrotem do pokoju, kotara mojego sąsiada odłożona, on leży na łóżku jak żywy. Zarosł na twarzy ma całkiem siwy, choć jest dużo młodszy ode mnie. Pomachał mi ręką, ja jemu też. Kładę się, słucham muzyki. Przychodzi doktor Crossman, siada przy moim łóżku. Badania niczego nie wykazują, nie wiadomo, co mi jest. Czy mogę iść do domu? Mogę, jeśli się czuję na siłach. Wstaję z łóżka, przechodzę

po linii prostej, rozkładając ramiona jak linoskoczek. Dobrze, zaraz mnie wypisze, ale powinienem jakiś czas unikać alkoholu. Moją osobistą pielęgniarką jest dziś Kim, której ani razu jeszcze nie widziałem. Wciskam jej numer, nikt się nie zgłasza. Dzwonię do Adasia, żeby po mnie przyjechał, a potem znów wzywam Kim. Nikt nie odpowiada, nikt nie przychodzi. Wychodzę na korytarz, widzę Selmę. Mówię jej, że szukam Kim. Kim ma ciężki przypadek, gdy tylko skończy, przyjdzie. Przyjeżdża Adaś, a Kim jak nie było, tak nie ma. Idzie jej poszukać. Przychodzi z Kim, śliczną Koreanką, tak jak to tylko Koreanki potrafią. Popatrz, jaką mam śliczną pielęgniarkę, mówię do Adasia. Spojrzała na mnie bez słowa, ale widzę, że nie bierze mi tego za złe. Jest wyraźnie rozkojarzona. Odpięta mi aparacik EKG, ale zapomniała o kablach przyklejonych do moich włosów na piersiach. Odkleiła kable, ale zapomniała o rurce w żyłę na mojej dłoni. Wyciąga rurkę, a tu krew się leje, dłoń mam czerwoną jak zbrodniarz. Szuka czegoś w kieszeniach kitła, ale nic nie znajduje, więc Adaś podaje jej kleeneksy z pudełka przy moim łóżku. Może „ciężki przypadek” miała z jakimś ciężkim lekarzem i nie może się teraz skupić? Ubieram się, biorę mój kijek pod pachę jak brytyjski oficer, życzę sąsiadowi *good luck* i wychodzę pod eskortą Adasia. Na korytarzu spotykamy Selmę. Przeprasza, że tak długo czekałam na Kim, ale nie mogła odejść od pacjenta. A jak tam jej pacjent? Nie żyje. Ile miał lat? Okazuje się, że tyle, co ja. Wychodzimy z budynku, a naprzeciw nam idzie tamta troskliwa lekarka z żydowskim nazwiskiem, wraca z lunchu, na nowy obchód. Uśmiecham się do niej, macham dłonią, ale mnie nie widzi. Patrzy prosto przed siebie i nie zauważa nikogo. Może lekarka, a może *malach hamuwes* – anioł, który przychodzi tylko do umierających Żydów, a innych nie widzi.

*

Zdaniem doktora Krista moja przygoda była skutkiem wirusa, który niezupełnie uległ pastylkom, zaczął się gdzieś w wewnętrznej części ucha i zaatakował moje receptory równowagi. Nie wiem, skąd doktor Krist ma takie nazwisko. Jest wysokim, złocistym blondynem, nawet skórę ma złocistą, typowy *krist*. Jest ze dwa razy młodszy ode mnie, chodzi z laptopem, gdzie notuje to, co ja mówię i co on sam mówi. Tym laptopem wysyła recepty do desktopów mojej apteki. Odszukał mnie w internecie, kupił *The Jewish War and the Victory* w jednym tomie i wie o mnie więcej niż potrzeba. Jest dobrym lekarzem, nie męczy mnie kolonoskopią ani badaniami prostaty, bo to powolne problemy i nie zdążę już na coś takiego umrzeć. Na ubytek pamięci – bieżącej, bo dawnej mam wciąż aż nadto – radził mi rozwiązywać krzyżówki, ale mu powiedziałem, że komponowanie prozy to też krzyżówka i zgodził się, że to wystarczy.

Rachunek za moją próbę generalną w szpitalu wyniósł siedem i pół tysiąca dolarów i była to najdroższa, jak dotąd, doba w moim życiu. Oczywiście nie ją zapłaciłem, lecz Medicare, państwowe ubezpieczenie dla seniorów, którym udało się przeżyć 65 lat, oraz Government Employees Hospital Association, które mam za to, że wytrzymałem dwadzieścia lat na posadzie rządowej. Jeśli nie jest się tak ubezpieczonym jak ja, to stanowczo bardziej opłaca się żyć.



Wojciech Gola, *Miasto rośnie 1*